

ZYGMUNT BAUMAN
Londyn

KRYZYS PAŃSTWA NARODOWEGO WE WSPÓLCZESNEJ EUROPIE*

Krzysztof Pomian pisał (a powtórzę to, co napisał własnymi słowami), że po trzykroć w dziejach widmo jedności krążyło nad Europą. Raz, po wielkiej schizmie chrześcijaństwa, jako duch prawdziwej wiary, promieniującej z Rzymu. Drugi raz, jako tchnienie Rozumu, poczętego w salonach mędrców i pracowniach uczonych kapłanów prawdy. Trzeci raz, jako wizja postępu, unosząca się, wraz z dymem, nad kominami nowoczesnych fabryk.

Widma, jak to widma, drwią sobie ze ścian i lekceważą sobie granice. Realia na odwrót: nie na próżno nazywamy je wszak „twardymi”. Są realiami właśnie dlatego, że chronią je mury grube a wysokie, często i warowne, że okopują się za pilnie strzeżonymi granicami. Gdy Europa była widmem, realiami były narody. Okazały się te narody biegle w sztuce egzorcyzmów. Z każdej kolejnej utarczki realia narodów wychodziły zwycięsko, a widmo umykało – cichaczem czy ze skowytym. Być może, mury okazały się za grube, a strażnicy granic zbyt czujni dla ulotnego, zwiewnego ducha.

Pięćdziesiąt lat temu, tuż po trzydziestoletniej, z przerwami, najkrwawszej w dziejach masakrze wzajemnej narodów, здаwać się mogło, że widmo jedności nigdy już ruin nie nawiedzi. A przecież nie tylko nawiedziło, ale i okazało się tym razem wyjątkowo odporne na egzorcyzmy. Czyżby więc za czwartym razem sztuka?

Tak, powiada wielu. I tłumaczy: egzorcyzmom brakło tym razem dawnej werwy, zakłęcia zamierały w pół słowa – usta zastygały, zmrożone tym, co widziały oczy. A oczy widziały tysiące kilometrów drutu kolczastego przeciągniętego przez serce kontynentu. Za tym drutem – kolumny czołgów i rzędy wyrzutni rakietowych. Tym razem – powiadają – nie było wątpliwości co do tego, gdzie granica przebiega. A gdzie granica, tam wspólnota tych, co się za tą granicą chronią, nie da się na to długo czekać. A gdzie granica wspólna, tam i tożsamość wspólna. Ta najeżona lufami granica jednoczyła: łamała przegrody,

* Referat wygłoszony na konferencji zorganizowanej przez Instytut Zachodni 18 września 1994 r. pt. „Dawne i nowe zagrożenia dla europejskich demokracji. Nacjonalizmy i polityczny fundamentalizm”.

jakich ni wiara, ni rozum złamać nie umiały. Nie ma już dziś wprawdzie, powiadają, drutów kolczastych, a ileś tam dział przekuto nawet na lemieszce. Ale co się stało, to się nie odstanie. Najtrwalszą spuścizną komunistycznego zamachu na świat okaże się, powiadają, jedność Europy.

Mniej mówi się o tym, półgębkiem tylko, i bez szczególnego animuszu odprowadzono tym razem egzorcyzmy, dlatego że widmo jedności zaszło Europę nie od paradnej bramy, lecz od kuchennych drzwi (...). I usadowiło się nie w salonie, ale w spichrzu. Byli wprawdzie wizjonerzy, jak Jean Monnet, którzy domagali się, by wspólnota ducha nie uważać za dodatek do gospodarczej wspólnoty, że to na podwalinach europejskiej kultury budować trzeba nową a wspólną siedzibę Europejczyków. Ale któżby traktował pięknoduchów poważnie? Pierwszym nasieniem „wspólnoty europejskiej” stała się „Wspólnota Węgla i Żelaza”. A gdy ziarno się przyjęło wykiełkowało z niego „Europejska Wspólnota Gospodarcza”. Zaczęło się zatem od swobody ruchów dla towarów i kapitałów. A gdy towary i kapitały wiz nie potrzebują, nie na wiele zdadzą się zastępy strażników granicznych. Mogą sobie poeci do woli pieśni narodowe układać, mogą je sobie narody do woli śpiewać, mogą się od swych rządów „narodowych w formie, europejskich w treści” domagać, by się „twardo stawiały”. Nie ważne, co mówią w salonach. Ważne, co się w kuchni gotuje i kto tam kucharzy.

Jeszcze mniej powiada się o tym, że udało się tym razem widmu usadowić na dobre dlatego, że zachowywało się ostrożnie, wystrzegając się zbędnego hałasu. Ta „wspólnota europejska” nie zaczęła się od wieców i pospolitego ruszenia; rodziła się nie w zgiełku politycznie rozgorączkowanej ulicy, ale w ciszy gabinetów dyrektorskich i ministerialnych. Nie księża i nie filozofowie przy jej porodzie asystowali, lecz ludzie pokroju Roberta Schumana, Alcide de Gasperi'ego, Paula Henri Spaaka i Konrada Adenauera – politycy wytrawni i dyskretni, świadomi tego, że czyny więcej od słów ważą. Nikt się narodu o zgodę nie pytał, nikt go o skutkach tego, co się działo, nie uświadamiał; nie wygłaszano kazań, nie nawracano, nie podbechtywano tłumów do działania. Jeśli o opinię publiczną idzie, o tę „światłą”, a już tym bardziej o tę mniej światłą, jednocześnie Europy dokonywało się drogą tworzenia faktów dokonanych. Do protestów dochodziło z reguły wtedy, gdy nie było już komu tych protestów wysłuchiwać i brakło środków, by narzekania w czyny obracać.

A przecież od wieków był kontynent europejski zaludniony przez plemiona czy grupy etniczne. Narody wszakże, są wynalazkiem nowoczesnym. W olbrzymim skrócie (a wszelkie skróty upraszczają!) powiedzieć można, że nadejście i dojrzewanie czasów nowoczesnych naznaczone było wpięciem się plemion w narody (lub scalaniem jednych plemion przez inne, jakim wybić się na naród udało), potem wykształceniem się narodów w państwa, a wreszcie przetwarzaniem się państw w państwa narodowe, a społeczeństw w narody jedne i niepodzielne...

Nader ważnym czynnikiem w sukcesji etapów była ta nadto okoliczność, że wspomniane procesy w różnych miejscach kontynentu nie były zsynchronizowane – że więc osiągnięcia plemion, jakie wybiły się na narody stawały się dla plemion, które tego jeszcze nie próbowały wprawdzie marzeniem, potem programem, a rychło i sprawą życia lub śmierci, aż w końcu pojęcia państwa niepodległego i narodu zespoliły się w europejskiej świadomości na tyle, że trudno już było je rozdzielić – na dobre i na złe, i zdawałoby się, że na wieki wieków. Państwo i naród żyć bez siebie nie mogły. Naród potrzebował państwa, by z „tutejszych” uczynić patriotów, dialekty miejscowe przekształcić w język narodowy, obyczaje lokalne przekuć w kulturę narodową, obrządki regionalne zastąpić kalendarzem świąt narodowych. Tylko państwo z jego monopolem przemocy i kanonu obowiązkowej oświaty mogło przewodniczyć nad ową homogenizacją plemion w naród, którą Jürgen Kocka celnie a zwięźle opisał jako *Reduzierung und Abbau von Unterschieden, Reduktion von Heterogenität, Homogenisierung von einerseits regionalen Differenzen*¹. Budowa narodu – zawsze przedsięwzięcie ryzykowne, podejmowane w konkurencji z innymi narodami *in spe* – nie mogła się dokonać bez wypraw krzyżowych i kulturkampfov; zawsze jakieś to języki trzeba było zdegradować do rangi dialektów, jakieś to dialekty wnieść do rangi języków; jakieś to przekazy ustne skazać na zapomnienie, jakieś to tradycje wyciągnąć za uszy z mroków zapomnienia czy niebytu. Nic z tego nie powiodłoby się bez państwa – bez kodeksów, policji, sądów, więzień i – *last but not least* – *doctorat d'etat* (jak powiada Ernest Gellner, w procesach budowania nowoczesnych narodów pierwsze skrzypce przypadły nie gilotynom, lecz profesorom). No a państwo potrzebowało narodu – by we wdrażaniu posłuszeństwa móc skutecznie odwoływać się do uczuć, sumienia i obowiązku, by podniecać do czynu wspólnotą tradycji i szantażować ospałych wspólnotą losu. Krótko mówiąc, małżeństwo doskonałe; stało w niebie zawiązane.

To znaczy dopóty, dopóki państwo pozostawało państwem co się zowie: jak długo „niepodległość państwa” znaczyła prawo do samostanowienia, do wydawania praw powszechnie na jego terenie obowiązujących, do ferowania wyroków bezwzględnych – jak długo w rękach państwa, i tylko w jego, spoczywała, mówiąc słowami Carlo Schmidy, władza definiowania i wdrażania *Pax, Justitia et Disciplina*. Wszystkie te warunki były spełnione, jak długo zwierzchność polityczna państwa wsparta była krzepko na trójnogu suwerenności: militarnej, gospodarczej i kulturalnej. Wtedy to zaiste nakazy zobowiązywały, decyzje wiązały i wezwania docierały do uszu dla jakich były przeznaczone. Mogło wtedy być państwo cieplarnią, w jakiej bezpiecznie naród dojrzewał i fortecą, w jakiej bronił się skutecznie przed zakusami konkurentów.

¹ Red. Otto Büsch, James Sheenan, *Die Role der Nation in der deutschen Geschichte und Gegenwart*. Berlin 1985, ss. 122-123.

I jako ciepłarnia, i jako forteca, było państwo samowystarczalne. Tylko z wnętrza państwowej fortecy paść mogły słowa Otto Bismarcka: *Ich habe das Wort Europa immer aus dem Mund jener gehört, die von anderen etwas fordern, das sie selber nicht auf sich zu nehmen bereit sind...*

Ale takich, co to własnym sumptem zdobyć tego, czego się domagają, nie mogło być w Europie wielu. Wszędzie budowa rozległych siedzib narodowych odbywała się kosztem wywłaszczenia mnóstwa etnicznych poletek; nie dziw, że ci, którym wywłaszczenie groziło, upatrywali w prawie wywłaszczania innych jedyną receptę na przetrwanie. Ofiary uczyły się, nie mogły się nie nauczyć, musiały uczyć się z praktyk swych oprawców. Byt narodowy zespolił się w świadomości europejskiej z suwerennością narodowego państwa. Wiosna Ludów 1848 r. była, między innymi, triumfem tak pojętej idei narodowego samookreślenia jaka odtąd rządzić miała myślami zarówno uciskających, jak i uciskanych, przez z górą sto lat.

Myślmy dziś zazwyczaj o jednoczeniu się Europy jako o zmaganiu się idei: z jednej strony, idea narodów okopanych za pilnie strzeżonymi granicami, skłóconych lub żyjących w przyjaźni, ale zawsze wobec siebie podejrzliwych i nie znoszących mieszania się sąsiadów do „spraw własnych”, o jakich im tylko decydować wolno. Z drugiej strony – idea europejskiej wspólnoty, nadrzędności interesów wspólnych nad narodowymi, jaka rzuca jej wyzwanie. Takie myślenie wyjaśnia być może wiele z zachowania aktorów politycznej sceny, więcej jeszcze chyba z reakcji ich widzów; ale niedużo rzuca ono światła na te przemiany, potężne i pewnie nieodwracalne, jakie kryją się za tymi zachowaniami i reakcjami. Kryzys państwa narodowego, o jakim się dziś mówi, zda się mieć przyczyny głębsze, niż nagła zmiana nastrojów. Starcie się idei jest wyrazem, raczej niż powodem tego kryzysu.

Przede wszystkim chwieje się trójnóg suwerenności, na jakim wspierała się niepodległość polityczna państwa.

Samowystarczalność militarna? Żadne niemal z państw dzisiejszych nie mogłoby samo, na własną rękę, bronić swych granic, gdyby do tego doszło... Broń nowoczesna drwi sobie z odległości, lekceważy sobie linie obronne, fortyfikacje i okopy. Mało ją też obchodzą zastępy patriotów, gotowych na śmierć w imię obrony ojczyzny. Niszczyć ona może przeciwnika niejako zaocznie; jeśli dzielność i odwaga decydowały w walce na bagnety, pieniądź otwierający dostęp do tajemnic laboratoryjnych rozstrzyga los waśni plemiennych w epoce niewidzialnych bombowców i rakiet, których nie trzeba na cel naprowadzić, bo same go znajdują. Gwoli bezpieczeństwa państwa dzisiejsze gorliwie szukają sojuszy wojskowych w jakich mogłyby swe armie roztopić, cedują troski obronne na ponadnarodowe sztaby – a więc skwapliwie rezygnują z militarnej suwerenności. Pożałowania godni są zdani na samowystarczalność...

Samowystarczalność gospodarcza? W epoce łamania barier celnych i niczym nieskrępowanych wędrówek kapitału żadne z państw nie ma rąk na tyle długich, aby dosięgły miejsc, w jakich decyduje się dobrobyt narodów, jakim przewodzą. Nie na wiele się zda bilansowanie rachunków, czcze byłyby próby określenia co robić trzeba, środkami, jakimi państwo zawiaduje, dla leczenia gospodarczych dolegliwości. Pojęcia takie jak „gospodarka narodowa”, straciły wszelki sens poza statystycznym; a pojęcia takie jak „koncentracja kapitału” nie kojarzą się już, jak dawniej, ze wzmaganiem mocy państwa, lecz z jej rozmywaniem. Kapitał jest dziś nie między- lecz ponadnarodowy, zbuntowany przeciw wszelkim odmianom protekcjonizmu, przeciw samej idei „polityki gospodarczej”. Przyjmowałby on państwowe wysiłki ochrony rynków narodowych za groźbę dla siebie śmiertelną, gdyby nie to, że nie musi wszak traktować ich poważnie; posiada przecież przeciw niebezpieczeństwu broń niezawodną – może z dnia na dzień przenieść się tam, gdzie władcy miejscowi nie roją sobie, że panują nad życiem gospodarczym i nie są na tyle zadufani, by dyktować jego warunki. Co realistyczniejsi politycy wiedzą o tym dobrze – a co mniej realistycznych powiadają o tym poparzone palce. Racjonalna polityka gospodarcza – jedyna polityka państwa o szansach powodzenia – polega dziś na tym, by skłonić kapitał koczowniczy, by rozbił namioty i osiedlił się na dłużej niż tego wymaga skasowanie czeku. A uwodzi się turystów kapitałowych tanią siłą roboczą, likwidacją przepisów o ochronie pracy i zarobkach minimalnych, bezzębnością lub uległością związków zawodowych, ulgami podatkowymi lub brakiem podatków. Państwa gonią dziś za sukcesem gospodarczym rozmontowując mechanizmy obronne, jakie strzegły niegdyś suwerenności gospodarczej zorganizowanych w państwa narodowe.

Niezależność kulturalna? Wyroby kulturalne są towarami, jak wszystkie inne, i jak inne wędrują bez przeszkód po niezmiierzonych równinach wolnego rynku. Nie wymyślono granic, jakie mogłyby powstrzymać ich pęd czy choćby skłonić do zmiany kierunku. Można konfiskować zadrukowany papier, ale nie przekaz elektroniczny. Globalna sieć komputerowa zadała cios śmiertelny cenzurze informacji, ale i podcięła korzenie polityce kulturalnej. Środki, jakimi dysponuje najbogatsze nawet państwo narodowe dla kultywowania narodowej kultury, są znikome w porównaniu z zasobami, jakie wprawiają w ruch wytwory ponadnarodowych korporacji; gdzież tam wytwórniom dóbr kulturowych, pieczołowicie pielęgnowanym przez państwa dbałe o narodową kulturę, ostać się w walce konkurencyjnej, w jakiej decyduje jeno popyt, wydajność i zysk. Jeśli się im nie powiedzie, zostaną zmiecione z rynku. Jeśli odniosą sukces, zostaną wykupione i przekształcone w filie tychże korporacji, jakim chciały się przeciwstawić.

A więc kryzys państwa narodowego? Tak, niewątpliwie – ale nie kryzys idei państwa narodowego. Tarapaty, w jakich znalazło się państwo narodowe, uczyniły ideę państwa narodowego bardziej niż kiedykolwiek atrakcyjną: mogą

teraz „wybić się na niepodległość” wspólnoty etniczne, jakie w czasach innej – tradycyjnej – suwerenności nie mogły o tym marzyć. „Trójnóg suwerenności” zakreślał granice perspektywom bytu państwowego. By uformować się w państwo, musiały narody *in spe* legitymować się realistyczną możliwością samodzielnego bytu, wspartego o samowystarczalność gospodarczą, militarną, kulturalną. Dziś, gdy żadne lub prawie żadne państwo nie może mówić na serio o samowystarczalności, nikt się już niczym legitymować nie musi. Jak to dowcipnie wyraził baczny obserwator historii współczesnej Eryk Hobsbawm, „każda kruszyna na Pacyfiku może spodziewać się niepodległości i pełnego uciech życia dla swego prezydenta, jeśli tylko zdarzyło się jej posiadać zatokę dla bazy morskiej, o którą bardziej wypłacalne państwa skłonne są zabiegać albo złożyć rudy manganowej, albo choćby dość piaszczystych plaż i ładnych dziewcząt, by ją okrzyknięto rajem turystycznym”.

Nowa sytuacja ma wiele następstw – od tragicznych do groteskowych – z których dopiero teraz zaczynam sobie w pełni zdawać sprawę. Jednym z następstw jest bezużyteczność tradycyjnych narzędzi budownictwa narodowego – nacisków asymilacyjnych popartych izolacją i dyskryminacją mniejszości opornych na zabiegi asymilacyjne. Grupy, które dziś pragną wznieść się do rangi narodów nie mogą już do tych środków się uciec: mniejszości osiadłe na ich terenie mają na ogół własne państwa niepodległe, które o ich prawa w razie potrzeby się upomną (jak upomniała się np. Turcja o prawa obywatelskie dla robotników tureckich w Niemczech), zaś mniejszości, które nie mogą się do własnych państw odwołać upomną się same o autonomię, może i niezależność terytorialną, jeśli naciski uznają za nieznośne. Gdy asymilacja mało rokuje nadziei na powodzenie, a dyskryminacja napotyka na opór nie do przewyciężenia, wielka jak nigdy jest pokusa „czystki etnicznej” czy przymusowej „repatriacji” obcych czy za obcych uznanych: wydalenia elementów, jakich połknąć i wchłonąć nie można. Innym następstwem jest powszechne dziś także i w Europie zjawisko nagłego przypominania sobie (albo wyobrażania; różnicę między przypomnieniem a wyobrażeniem określić niełatwo) odrębności etnicznej przez ludność od dawna zdawałoby się w pełni zasymilowaną, a zamieszkującą tereny względnie upośledzone w podziale narodowego bogactwa lub, przeciwnie, prosperujące lepiej od innych, a więc niechętnie do dzielenia się swą zamożnością z resztą kraju. Bretończycy, Okcytańczycy czy Szkoci skarżą się na lekceważenie ich potrzeb przez władze centralne; utwierdzając swą odrębność etniczną, mogą domagać się specjalnych względów w podziale narodowego dochodu. Lombardzcy we Włoszech, Katalończycy w Hiszpanii, Flamandowie w Belgii nie widzą powodu, dlaczego mieliby w imię oficjalnej solidarności narodowej dzielić się dochodem z mniej od nich zapobiegliwymi, a pewnie i mniej pracowitymi, Kalabryjczykami, Galicjanami czy Walonami. Marzy im się triumf Czechów, którzy przez prosty zabieg przeciągnięcia granicy i zniesienia podwójnego obywatelstwa z dnia na dzień podwoili dochód przeciętny,

zredukowali o dwie trzecie procent bezrobotnych i pozbyli się większości wydatków na opiekę społeczną. Jednym i drugim wielce na rękę okoliczność, że prerogatywy przysługujące niegdyś państwom narodowym przejmują instytucje wspólnoty europejskiej. Dlaczego biurokraci stołeczni mieliby pośredniczyć między nimi a Europą? Państwo narodowe samo staje się dziś po trosze ową *pouvoir intermediaire*, jaką ogłosiło niegdyś za zbędną czyniąc wszystko, co w jego mocy, by zbędną ją uczynić...

W miarę jednoczenia się Europy i formowania ogólnoeuropejskich instytucji ustawodawczych, wykonawczych i sędowniczych, państwo narodowe staje się coraz bardziej organem administracji lokalnej, pilnującej wykonania decyzji podjętych w centrali. Przestaje być tym samym naturalną poniekąd ramą dla wpisywania ludzkich tożsamości i wynikłych z nich solidarności. Nie są państwa narodowe wspólnoty europejskiej zainteresowane odwoływaniem się do patriotyzmu, gdyby zaś były, są i tak za mało suwerenne, by swój autorytet duchowy narzucić. Straciły monopol na określenie ludzkich tożsamości i kodyfikowanie obowiązków z lojalności wynikłych. Można teraz poszukiwać tożsamości na wiele sposobów i w wielu miejscach, postulować wspólnoty najrozmaitszych rzędów i wielkości, bez ograniczeń, jakie krępowały polot fantazji i zakreślały granice realizmu wizji politycznych w początkach ery nowożytnej. W stopniu nigdy dotąd nie doświadczanym, jest tożsamość wspólnotowa sprawą wolnego przetargu, swobodnej twórczości i inicjatywy politycznej. W stopniu większym niż kiedykolwiek jest też sprawa intensywności emocji raczej niż solidności instytucji. Raz jeszcze stała się tożsamość polem bitwy, zaproszeniem do konfliktów sąsiedzkich, sferą wolności, w jakiej wszystko zdarzyć się może, lecz mało czego dokonać można w sposób choćby i z pozoru ostateczny i nieodwołalny. Jak przewidział Michał Walzer² „gdy państwa staną się rozległymi zbiorowościami sąsiedzkimi, grupy sąsiedzkie upodobnią się zapewne do małych państw. Ich członkowie będą się organizować dla obrony lokalnej polityki i kultury przed intruzami”.

Pełno w dziejach przypadków, gdy pewne zamiary dawały następstwa zgoła przez ich sprawców nieprzewidziane. Nawrót do spięć i utarczek plemiennych na terenie, na którym, zdawałoby się, identyfikacje plemienne dawno już i nieodwołalnie ustąpiły miejsca zinstytucjonalizowanej tożsamości narodowej, jest takim właśnie przypadkiem – jednym ze skutków niezamierzonych projektu jednoczenia Europy. Ale ma też budowa Wspólnoty Europejskiej inne jeszcze, i to bardziej dla wielu zaskakujące, następstwo niespodziewane. Ujawniło się ono w chwili największego triumfu idei europejskiej – gdy pod ciosami ludów na ideę tę nawróconych rozpadł się w gruzy mur berliński i rozleciała się w strzępki żelazna kurtyna. Europa, rzecz można, padła ofiarą własnego sukcesu.

² *Sfery sprawiedliwości*. Nowy Jork 1983, s. 38.

Przez lat bez mała czterdzieści idea europejska nosiła wszelkie znamiona misji wojującej. Jawiła się ona oczom tych, co pozostawali poza obrębem jednoczącej się Europy jako obraz szczęśliwości, jakiej odmówiono im w domu, lekarstwo radykalne na dolegliwości w domu doskwierające i obietnica zbawienia. Europa była tym wszystkim, czego ludziom sąsiadującym z jej granicami, a jednak od niej przemocą odciętym, brakowało najdotkliwiej. Była kolorem dla mieszkańców szarych murów, wolnością wyboru dla skazanych na monotonię, lekkością bytu dla zmożonych przydziałem i dekretem. Europa symbolizowała byt barwny, wolny i bez balastu, jako znak tego bytu wyhaftowali jej imię na swych sztandarach ludzie uroczeni jej powabem – pod tym znakiem Europa zwyciężyła.

Obok *Nowego światowego nieładu* Kennetha Jowitta, książka Clausa Offe pod nader celnym tytułem *Tunel na końcu światła* jest najlepszym bodaj studium sytuacji, jaka po tym zwycięstwie się wyłoniła. Europa obfitości, jaką daje wolność i wolności, jaka gwarantuje dostatek, była tym światłem, ku któremu garnęły się ludy zamieszkałe wzdłuż jej granic. Światło oślepiło swym blaskiem – ale gdy oczy przyzwyczyły się i kontury rzeczy znów stały się widoczne, ukazał się im długi i ciemny tunel... Ukazała się oczom Europa przerażona poklaskiem, popularnością swego przykładu i wszystkim, co stąd wynikać może. Europa, która w nowo uzyskanej przez ludy sąsiednie wolności dopatrzyła się przede wszystkim groźby masowej migracji zarobkowej, i zareagowała pospieszłą budową nowych, ulepszonych barier granicznych (amerykański sekretarz stanu, Christopher, uznał zapobieżenie masowej imigracji „do Europy” za argument naczelny na rzecz interwencji w Bośni). Europa bynajmniej nie kwapiąca się, by otworzyć szeroko ramiona dla tych, co się w jej objęcia garnęli. Europa znów niepewna, gdzie jej granice przebiegają, i z kwaśnym uśmiechem wysłuchująca hasła o „wspólnym europejskim domu”, gdy skandowano je wreszcie na ulicach Rumunii, Łotwy czy Bułgarii. Jak to nieraz w dziejach bywało, wizję malowaną w cywilizacyjnym centrum przechwycono na peryferiach, i to tam właśnie, na dalekich od centrum przedmieściach, znaleźć można najgorliwszych jej orędowników – gdy stołeczni malarze nie chcą rozpoznać w powielanych wizerunkach własnego oryginału. Wołania o jedność Europy rozlegają się najgłośniej w krajach, którym „stara” Europa europejskości przyznać się nie kwapi lub zgoła jej odmawia.

Ukazała się po wtóre, Europa zmożona kolejną depresją ekonomiczną. Europa o z górą czterdziestu milionach ludzi vegetujących poniżej oficjalnej granicy ubóstwa, o ponad dwudziestu milionach ludzi oficjalnie bezrobotnych (to znaczy takich, którzy mają prawo ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych i z prawa tego korzystają), o więcej niż trzech milionach bezdomnych. Europa niezdolna już, a więc i niechętna do naprawiania, środkami politycznymi „błędów i wypaczeń” nieokiełznanej gry rynkowej. Europa wynosząca na szczyt wartości nieskrępowaną konkurencję, i gotowa złożyć w tym celu,

w ofierze wszystkie inne wartości, jakich obrona czyniła ją niegdyś światłem przewodnim cywilizacji. Europa niepomna zasad liberalnych, jakie przyświecały jej przez długie dziesięciolecia, wedle których, mówiąc słowami Jezajasza Berlina „Wolność negatywną spaczono, gdy mi mówią, że wolność winna być jednaka dla tygrysów i owiec, i że nawet pozwoli to tym pierwszym zjadać te drugie, nie da się tego uniknąć, jeśli się nie chce, by państwo uciekało się do przemocy”³. Europa w akcji rozpiętości dochodów i szans życiowych rośnie w tempie niepamiętnym od dziewiętnastego wieku, w której wolność wyboru jest przywilejem, na jaki trzeba zarobić i na jaki nie wszyscy zarobić mogą, i w której obronę słabych przed silnymi uważa się za kij, wsadzony w szprychy postępu mierzonego wydajnością, konkurencyjnością i zyskiem. Europa, w której rządy przewodniczą, by użyć popularnego dziś we Francji wyrażenia, nad procesem *démolition sociale* napędzanym przez *un capitalisme hors de contrôle*⁴.

„Tunel na końcu światła”, powiada Offe, pojawił się, gdy oczy przyzwyczały się do blasku i mogły przyjrzeć się z bliska realiom Europy. Dobrobyt i szczęśliwość powszechna, jak się okazuje, nie depczą wolności po piętach. Prowadzi do nich długa, kręta i uciążliwa droga. Jak daleko się na niej zajdzie, powiada Offe, jest kwestią „politycznej ekonomii cierpliwości” (*Geduld*). Oszolomione nagle uzyskaną wolnością, wyzwolone od komunizmu ludy nie zastanawiały się nad kosztami, jakie wypadnie zapłacić; a jeśli o nich nawet myślały, nie trapiły się nimi zbyt. Ludzie gotowi byli na ofiary w imię lepszej przyszłości. Co innego jednak wyrażać gotowość do ofiar, a co innego godzić się na ich ponoszenie – zwłaszcza gdy jedna za drugą pękają siatki ochronne, bez których brak ludziom odwagi do skoku. Rozmontowanie państwa patronackiego nie mogło nie być bolesne, powiada Offe, i ludzie zdolni byli znieść ten ból bez skargi i buntu tylko w pierwszej chwili, gdy światło oślepiło tak dokumentnie, że nie widać było jeszcze tunelu (...). Był zatem los reform rynkowych zależny od wyścigu z czasem: co pęknie w pierw – gęsta się odziedziczonych po komunizmie instytucji, czy wytrzymałość ludzka. Gdzie zabierano się do rozbiórki ospale i bez animuszu – jak w Rumunii, Bułgarii czy w państwach posowieckich, szanse na reformę kurczą się z dnia na dzień. Gdzie przystąpiono do dzieła natychmiast, z rozpędu – jak np. w Polsce, szanse są większe; ale cierpliwości i tam trzeba przecież ogromnie dużo – i czy jej zasoby okażą się wystarczające ani politycy, ani politologowie przewidzieć nie mogą.

„Ekonomia polityczna cierpliwości”, choć wiele w pokomunistycznej historii politycznej tłumaczy, nie sięga być może dość głęboko. Zakłada ona przecież milcząco, że o zachowaniach ludzkich decyduje gotowość lub brak gotowości do zwłoki w zaspokojeniu pragnień; marzenia się spełniają, myślą sobie ludzie,

³ *Conversations with Isaiah Berlin*. Londyn 1992, s. 41.

⁴ Por. „Le Monde Diplomatique” z lipca 1994.

idzie tylko o to, jak szybko, i jak długo cierpieć mamy czekając na ich spełnienie. A przecież to właśnie wiarę w słuszności obranej drogi, i w to, że wszystko tylko od tempa poruszania się zależy, zmroził zimny podmuch wiatru od Europy. Lech Wałęsa mógł się jeszcze ubiegać parę lat temu o urząd prezydenta pod hasłem „przyspieszenie”, mniemając nie bez kozery, że wyborcy wiedzą, dokąd się spieszyć trzeba i warto. Dziś pod tym hasłem mało który polityk wolny od instynktów samobójczych do wyborów przystąpi.

Może więc lepiej, czerpiąc natchnienie z przenikliwej analizy Krzysztofa Zagórskiego, mówić o „politycznej ekonomii nadziei”⁵. Gdy się nadzieję, a nie cierpliwość za sprężynę zachowań ludzkich przyjmuje, wskazuje się na to, że kierunek, a nie tylko tempo przemian jest w świadomości ludzkiej na cenzurowanym, i że w jednym, jak i w drugim przypadku należy spodziewać się podpisania czeku *in blanco*. Poparcie dla tej czy innej reformy ustrojowej zależy od tego, czy ludzie w ogóle widzą w nim szanse polepszenia życia, a nie tylko od tego, czy skłonni są płacić dziś cenę za dobre życie w bliżej nie określonej przyszłości. Innymi słowy, stawką jest kształt ustroju, a nie tylko szybkość jego budowy. Nie ma cierpliwości, jeśli brak nadziei. Cierpliwość to tyle, co akceptacja rosnącej nierówności i własnego w tej nierówności upośledzenia – w imię tego, że z biegiem czasu nierówność zaowocuje polepszeniem własnego bytu bardziej namacalnym, niż walory bytu w warunkach narzuconego zrównania. Nadzieja powiada zaś o tym, w jakim stopniu ufa się, że rosnąca nierówność takie właśnie owoce przyniesie. Jak powiada Zagórski, ocena „stanu aktualnego i przewidywanych zmian” ważniejsza jest, gdy idzie o „akceptację nierówności” niż „naprawdę osiągnane dochody” – i nawet, dodajmy, niż ich obiektywny, statystycznie mierzony wzrost.

Powtórzmy: wypadało by mówić o „politycznej ekonomii nadziei”, raczej niż cierpliwości. Tolerancja dla rosnącej nierówności zależy od tego, ilu wyborców upatruje w „deregulacji rynku”, jakiej jest ona wytworem, szansy polepszenia własnego losu. Kenneth Galbraith wskazał na to, że dziś po raz pierwszy w dziejach większość wyborców w krajach zachodnich poparła, w powszechnym i wolnym głosowaniu, politykę jawnie forytującą wzrost nierówności społecznej. Istotnie, nigdy przedtem się to nie zdarzyło. Zwyciężały wprawdzie w wyborach dwudziestego wieku partie opowiadające się otwarcie po stronie nierówności, ale było to za czasów, gdy upośledzona większość nie posiadała praw wyborczych. Gdy stopniowo wprowadzano powszechne prawo wyborcze, nowa nieskrępowana demokracja poczęła wywierać nacisk na redystrybucję dochodu, stępienie najostrzejszych przejawów nierówności, przezwycięzenie nędzy i bezrobocia i, ogólnie biorąc, przejęcie przez państwo odpowiedzialności za warunki bytowe najsłabszych członków społeczeństwa;

⁵ *Nadzieja, nierówność i poparcie dla transformacji ustrojowej*, referat na IX Ogólnopolskim Zjeździe Socjologicznym w Lublinie, 1994.

innymi słowy, na rozbudowę instytucji państwa opiekuńczego (Francuzi mówią nawet o *l'état providence* – „państwie opatrnościowym”...). Partie ubiegały się o względy elektoratu licytując się w zapewnieniach, że ich polityka przyniesie wzrost społecznej równości. Dziś jest inaczej: w wolnych wyborach dochodzą do władzy ugrupowania polityczne, które otwarcie głoszą chwałę wolnej konkurencji i rosnącej rozpiętości dochodów. Galbraith tłumaczy ten zwrot nową sytuacją, w jakiej „większość” ludności ufa swym siłom w zmaganiach rynkowych i nie boi się konkurencji; mówiąc inaczej, więcej jest takich, którzy żywią nadzieję, że zyskają więcej obracając swymi dochodami w wolnej grze rynkowej, niż cedując sporą część dochodów na rzecz instytucji państwowych odpowiedzialnych za zaspokojenie ich „podstawowych” potrzeb. Znow więc o poparciu dla wolnego od skrępowań rynku decyduje ufność w dobroczynność jego następstw – wiązana z nim nadzieja na polepszenie sytuacji własnej.

Nadzieję trudno włączyć do kalkulacji politologów czy ekonomistów; nie da się jej obliczyć w najsprawniejszych nawet komputerach ani określić precyzyjnie, jak się określa poziom dochodów, stopę inflacji czy tendencje stopy życiowej. Nie sposób przewidzieć jej z reguły zaskakujących wzlotów i upadków. Jeśli więc o kierunku przemian w krajach pokomunistycznych decydować ma polityczna ekonomia nadziei, nie rokuje to łatwego życia futurologom. Nie jest zresztą jasne, dodajmy nawiasem, czy i w jakim stopniu odnotowany przez Galbraitha zwrot nastrojów na Zachodzie okaże się trwały. Nadzieja na pstrym koniu jedzie, i coraz głębsze i bardziej jęczące rany zadawane tkance społecznej przez uwolniony od kurateli państwowej rynek mogą łatwo przetrzebić tak liczne niedawno szeregi „ukontentowanych” i sprawić, że w większości znajdą się znow ci, którzy wolą zrezygnować z części prywatnych zasobów w imię przyzwoitego szkolnictwa, służby zdrowia, zabezpieczenia na starość no i, co tu dużo mówić, wspólnoty ożywionej duchem pomocy wzajemnej i współpracy. Co więcej, niechęć do państwa ograniczającego inicjatywę prywatną i lokalną może jeszcze – kto wie? – obrócić się nową falą patriotyzmu i nowym animuszem do obrony idei państwa narodowego w obliczu postępującego paraliżu organów państwowych w konfrontacji z nieubłagalnie rosnącą potęgą ponadnarodowego kapitału.

Wszystko to są niewiadome. Jak daleko nie zaszłyby procesy integracyjne w Europie i jak by nie zmalał wpływ władz państwowych na warunki lokalne, sytuacja ekonomiczna, socjalna i demograficzna krajów Europy jest nadal wysoce zróżnicowana. Trudno się zatem spodziewać pełnej synchronizacji wzlotów i upadków nadziei, poparcia dla wolnego rynku, zgody na demontaż państwa opiekuńczego, uczuć żywionych dla suwerennego państwa narodowego. Jest to jeden jeszcze czynnik, być może o decydującej wadze, jaki wpływać będzie na postępy (lub brak postępu!) integracji europejskiej. Jeśli idzie

o włączenie krajów pokomunistycznych do Wspólnoty Europejskiej, może ten czynnik okazać się ważniejszy jeszcze od dobrze znanych różnic w strukturze gospodarczej czy poziomie dochodu narodowego.

W znakomitym zbiorze szkiców „o historii bieżącej”, Jerzy Jedlicki⁶ przytacza swój artykuł z czerwca 1990 r., w którym pisał, że „strumień idei i prąd nadziei płynie dziś nie w jednym tylko kierunku”. Nie był w tej myśli osamotniony. Przywoływał nazwiska myślicieli powszechnie na Zachodzie szanowanych, którzy wyznawali ten sam pogląd. Ubolewał np. Giovanni Sartori nad uwiązaniem zainteresowania dla zasad demokratycznego życia i zamieraniem krytycznej debaty nad wartościami liberalnymi, wiążąc zarazem nadzieję na odrodzenie obydwu z problemami, jakie historia postawiła na porządku dziennym polityków i myślicieli obrzeża Europejskiej Wspólnoty: „jeżeli cywilizacja zachodnia (która albo jest liberalno-demokratyczna, albo jest niczym) zdoła przetrwać dostatecznie długo, to liberalna demokracja zostanie podtrzymana i w końcu odmłodzona przez liberalizm wschodni”. Miał wtedy Sartori na myśli przywrócenie blasku ideałom wolności, zaśniedziałym nieco i rzadko wietrzonym na zbyt długo już pogodzonym ze sobą Zachodzie – czyn, jaki przypadnie najpewniej w udziale ludom, którym wolności brak.

Dziś można to oczekiwanie rozszerzyć. Nieustanna samokontrola, wieczne z siebie niezadowolenie, nie dające się ugasić podejrzenie, że można było zrobić więcej, niż się zrobiło dla spełnienia wartości, jakie nadają sens wysiłkom, jest chyba najważniejszą z cech, jaka wyróżnia demokrację od wszystkich innych form życia pospołu, a i jedyną rękojmnią jej żywotności, zdolności do samoodnawiania i jedyną nadzieją na to, że ujdzie cało z wciąż nowych prób, jakim poddaje ją historia. Gdy ukontentowani są większością, skromne są szanse takiej samokontroli, a mniejsza jeszcze jest szansa na to, że wynikiem krytycznych analiz nadstawiać się będzie ucha. Łatwo wtedy praktyce demokratycznej spłyć się do proceduralnej rutyny, a i łatwo wówczas zapomnieć, dla jakiego to celu reguły postępowania demokratycznego wymyślono, czemu miały one służyć i w jakich wynikach się sprawdzać. To właśnie pokomunistycznym peryferiom Europejskiej Wspólnoty demokracja, ów najpoważniejszy z zachodnich wynalazków, jawi się jako zadanie do spełnienia, jako przyrząd, jakim trzeba nauczyć się posługiwać, w tym celu zgłębiając jego tajniki. Aby móc demokrację „robić” trzeba o niej mówić, i to mówić szeroko i poważnie, jako że nic nie będzie przyjęte na wiarę lub toczyć się samo, popychane kołem zamachowym tradycji. Chcąc nie chcąc trzeba więc znów zadawać pytania o związki między formami a treścią demokratycznego sposobu życia, mierzyć środki na zamiary, dociekać wartości procedur przez konfrontację z wynikami. Centrum debaty, jaka żywiła cywilizację europejską w ciągu dwu ostatnich stuleci, przesuwa się dziś na Wschód.

⁶ J. Jedlicki, *Źle urodzeni*. Londyn-Warszawa 1994.

Powtórzmy za Jedlickim: strumień idei i nadziei nie w jednym tylko płynie dziś kierunku. O przyszłości „wspólnego europejskiego domu” decydować będzie nie to, czy i jak szybko wchłonie Wspólnota Europejska nowo otwarte na jej wpływy peryferie, lecz to, czy i jak potrafi rozszerzona Europa wyzyskać szansę dziejową zawartą w nowej, jakże wzbogaconej różnorodności tradycji i oczekiwań. To, czy nawykła do nauczania i pouczenia, potrafi owa wspólnota, jaka przyswoiła sobie miano Europy, także się uczyć.

PODZIELONA JEDNOŚĆ

RAPORT
O NIEMCZECH LAT DZIEWIĘCDZIESIĄTYCH

Ark. wyd. 7,8

Trzecia część ekspertyzy przygotowanej przez Instytut Zachodni, której celem jest analiza i ocena procesu jednoczenia Niemiec. Raport przedstawia rzeczywistość niemiecką cztery lata po podpisaniu traktatu zjednoczeniowego, ukazuje specyfikę niemieckiej transformacji na tle dokonujących się przemian w całym regionie środkowoeuropejskim.

Praca składa się z następujących opracowań:

1. Anny Wolff-Powęskiej, *Deficyty kultury politycznej*
2. Huberta Orłowskiego, *Nauka, szkolnictwo akademickie i kultura*
3. Wacława Wilczyńskiego, *Dylematy gospodarki*
4. Zbigniewa Mazura, *Koncepcja „znormalizowania” niemieckiej polityki zagranicznej.*

Pierwsza część ekspertyzy ukazała się w „Przeglądzie Zachodnim” nr 1/1991, ss. 3-49. Część druga to *Raport o jednoczeniu Niemiec*. Instytut Zachodni. Poznań 1992, 76 ss.

DO NABYCIA:

- w księgarniach naukowych
- w Instytucie Zachodnim, 61-772 Poznań, Stary Rynek 78/79 (także za zaliczeniem pocztowym)
- w księgarni „Pod ratuszem”, Poznań Ratuszowa 25/27 (domki budnicze)

